

Policzone „na piechotę”

30 października 2018

Ucieszyłam się, kiedy moje dorosłe już wnuki, nieszczególnie uspołecznione, zgłosiły się na ochotnika, żeby pracować w komisjach wyborczych. Ale obawiam się, że doświadczenie tamtej nocy odbierze im ochotę do dalszych społecznych zrywów.

– W składzie komisji nie było ani jednej osoby dobrze zorientowanej co i jak należy liczyć, jak i gdzie wypełniać formularze, bo byli tam sami nowicjusze – opowiadają. – 1800 kart do podliczenia i 6 osób, z których jedna przez cały wieczór wpatrywała się w aplikację do randkowania. Po paru godzinach byliśmy głodni, ale nie mieliśmy prawa zamówić pizzy, bo obcym na terytorium pracy komisji wstęp wzbroniony. Frustracja. Podobno w którejś komisji liczący w trakcie liczenia się pobili, bo nerwy im puściły.

Teoretycznie nie wolno liczyć głosów „w pojedynkę”, samemu, ale z braku ludzi do pracy w komisjach zdarzało się, że podliczała tylko jedna osoba zamiast dwóch. I przecież nie było szans, żeby ktoś po niej sprawdzał, czy podliczyła dobrze. Zdarzało się w niektórych komisjach wyborczych, głównie w budynkach, gdzie obok siebie pracowały dwie komisje, że w urnach znajdowano nawet po kilkadziesiąt kart do głosowania więcej, niż wydano. Zniecierpliwieni czekaniem wyborcy wrzucali swoje karty tam, gdzie mieli bliżej.

W gazetach ukazało się po wyborach wiele relacji wolontariuszy-nieszczęśników, którzy mieli za sobą nieprzespaną noc i pół następnego dnia nerwowego wysiłku. Mówili, że już podczas szkolenia wynikały niejasności, a realia okazały się gorsze. „Samo wyciąganie kart z urny zajęło nam 2,5 godziny – opowiada jedna z wolontariuszek – nie wolno było przechylać urny, a większość kart ludzie składali podwójnie, na cztery i nie chciały same wylecieć. Niejasności jakie okazywały się w czasie liczenia nie miał kto rozjaśniać,

bo telefon do komisarza był przez cały czas zajęty. A, na przykład, nikt w komisji nie wiedział jak prawidłowo sporządzić protokół przekazywania list z komisji dziennej do komisji nocnej.

Komisje były wykończone i fizycznie, i psychicznie, bo tylko w niewielu okręgach wyborczych dało się uzbierać składy większe niż złożone z pięciu osób. Kolejki czekających wyborców w niektórych okręgach bywały takie długie, że głosowanie zamiast do wieczora przeciągało się do późnej nocy. Przezorni członkowie komisji przychodzili do tej pracy z wałówką, inni słabli z głodu, a z zewnątrz nie wolno było niczego wносить.

I wreszcie najważniejsza sprawa – czy stosowany u nas system wyborczy gwarantuje uczciwość?

Teoretycznie liczą głosy oddane na kartach wyborczych dwie osoby – jedna czyta, druga zapisuje. Ale praktycznie, przy braku ludzi, często się zdarza, że liczy i zapisuje na kartce ta sama osoba. Czy może oszukiwać?

Jeśli nie jest uczciwa i chce to robić, z pewnością będzie miała okazje – mówią moje wnuki. Ale nawet w systemie „dwójkowym”, kiedy jeden odczytuje – drugi zapisuje, można zapisać inaczej, niż się usłyszało. Ktoś opowiadał, że kiedy przy liczeniu głosów wypadło mu o dwa głosy mniej, niż wynikało z poprzedniego protokołu, to po prostu te dwa głosy jednemu z kandydatów dopisał do rachunku. Gdzie indziej liczba obliczonych głosów nie zgadzała się z protokołem i liczący zgodnie oświadczyli swoim podpisem, że wszystko jest w porządku. Trafiały się też kartki, na których żaden z kandydatów nie był zaznaczony i liczący głosy miał okazję go „wyręczyć” i zaznaczyć za niego kogo chciał.

Obliczone karty trzeba pakować w paczki, owijać papierem, zawiązywać sznurkiem, wkładać do worka i plombować. W sumie komisje pracowały po kilkanaście godzin.

Cała praca przy wyborach wykonywana jest jak zawsze, „na

piechotę” – poczynawszy od sprawdzania list wyborców, do końca procesu liczenia. Trudno, żeby przy takiej ręcznej robocie nie było pomyłek, a nawet przekrętów. System niby działa od lat a przecież w ostatniej chwili zdarzało się, że wyborcy nie znajdowali siebie na listach do głosowania. Trudno się też oprzeć wrażeniu, że przy tym bałaganie i przemęczeniu w komisjach nie wszystko w kraju mogło przebiegać uczciwie i praworządnie. A przede wszystkim trudno pojąć, że w dobie elektroniki, której cuda całkiem odmieniły naszą cywilizację, sprawa najważniejsza dla demokracji – wybór ludzi, którzy mają decydować o tym, jak będziemy żyć na co dzień i od święta, odbywa się w takim bałaganiarskim systemie.

W przyszłym roku będziemy wybierać Sejm. Zasiądą w nim ludzie, którzy będą decydować, jak ma Polska wyglądać a Polacy żyć w kolejnych czterech latach. Przez trzy ostatnie doświadczyliśmy w praktyce, nie w teorii, jak ważne jest, jacy to będą ludzie. Może wybory nie są najlepszym z demokratycznych pomysłów na rządzenie krajem, ale lepszego, jak wiadomo, nikt nie wymyślił. Dlatego takie ważne, żeby dostęp do przycisków na sali sejmowej mieli ci, którzy potrafią demokrację obronić. A nie ludzie małej wiedzy i słabego charakteru, którzy jedynie potrafią być wierni za to, że ich wpuszczono „na salony”.

Jest jeszcze czas, żeby system liczenia głosów „na piechotę”, pełen okazji do „upraszczania” czy zwyczajnie fałszowania głosów zamienić na bardziej nowoczesny i bardziej niezawodny.

Towarzysze w PRL mawiali, że nie ważne jak ludzie głosują, ważni są ci, którzy liczą głosy. Nie wiemy, jak dalece to porzekadło nadal przystaje do rzeczywistości. Z zebranych pobieżnie refleksji członków komisji wyborczych wynika, że ci, co liczą, mają pole do „popisu” całkiem pokaźne.

Autorstwo: Agnieszka Wróblewska

Źródło: StudioOpinii.pl